

# Fetowanie kłęski

9 kwietnia 2025

W Radomiu od dobrych kilku lat w drugiej połowie czerwca zaczyna się prawdziwa feta. Nagle zaczyna się mówić, jak pamiętnego 25 czerwca 1976 roku robotnicy z Zakładów Metalowych poszli pod budynek Partii (mieszczący się w dawnej siedzibie Lasów Państwowych). Następnie został on podpalony – stąd pochodził PRL-owski dowcip o płonących komitetach. Od tamtej pory elegancki modernistyczny budynek z 1938 roku jest skażony tandetną warstwą izolacyjną. Później oddziały ZOMO rozpędziły demonstrantów. Gierek grzmiał natomiast o „warchołach z Radomia”.



Komunistyczna autokracja znała tylko jedną metodę zemsty. W Radomiu zaprzestano dalszych inwestycji, ów 1976 rok oznaczał koniec rozbudowy zarówno przemysłu zbrojeniowego jak i elektromaszynowego. Do tego również przerwany został rozwój urbanistyczny miasta. Ówczesna Wyższa Szkoła Inżynierska została połączona z Kielecką, a część pociągów z Lublina do Krakowa skierowano przez Ostrowiec Świętokrzyski. Los Radomia komuna postanowiła przypieczętować, zamieniając je w postindustrialne, zapyziałe prowincjonalne miasto; poniekąd dopełniło się to w końcu lat dziewięćdziesiątych, kiedy doszło w jednym 1999 roku do upadku zakładów skórzanych i obuwniczych (Radoskór) oraz zbrojeniowo-maszynowych (Łuczniczka).

Reasumując, warto zadać sobie pytanie: czy jest co świętować? Oczywiście, dla lokalnego samorządu składającego się głównie z kliki PZPO oraz Populizmu i Socjalizmu wydaje się bardzo fajnie wydawać cudze pieniądze. Stąd organizuje się Free(Ra)Dom Festiwal, na który praktycznie nikt nie przychodzi i który w gruncie rzeczy jest mało atrakcyjny; tak mało pociągający, że większa część mieszkańców jakby nie dostrzegała wiszących wszędzie plakatów. Poza tym zarówno

Populizm i Socjalizm, jak i PZPO, muszą wskazać na swoje solidarnościowe korzenie. Bo my się biliśmy z komuną! No i trzeba zacząć gadkę, że bez rozruchów radomskich nie byłoby Solidarności. Do tego dochodzi jeszcze cała masa innego wzniosłego eciepecie.

Tylko że ów 1976 rok jest jedną z najtragiczniejszych dat w historii Radomia. Gorszą był tylko najazd tatarski w 1246 roku, kiedy został złupiony i spalony. Solidaruchowscy spadochroniarze może mają co świętować, natomiast normalny człowiek nie. To właśnie dzięki temu całej ruchawce Radom stanowi miasto-mem. Każdy normalny człowiek chciałby zapomnieć takie zajście, możliwie je mocno ukrywać niczym deformacje narządów intymnych. A nie świętować! Bo nie ma czego! Sam nie rozumiem i dziwię się ludziom, na Free(Ra)dom Festival pewnie się nie wybiorę ze względu na wiejącą sztapkę i nudę. Zapewne znajdę sobie w tym czasie tysiąc innych zajęć. Co prawda o tym zajściu jest niezwykle smutna poza samym faktem klęski. Po prostu była to prowokacja. Jakoś w żadnej garbarni nie doszło wówczas do strajku i żadnego partyjniaka nie wrzucono do jakże smakowitego ścieku garbarskiego; a smród to jest nie z tego świata! Strajkowali pracownicy zakładów zbrojeniowych o istotnym znaczeniu dla obronności państwa. Stąd wysoce prawdopodobne, że zostali do tego celu podpuszczeni albo przez SB, albo WSW (ówczesny wywiad i kontrwywiad wojskowy).

Niemniej jednak w polskiej duszy jest pewna skłonność do fetowania klęsk. Już pół biedy, żeby to dotyczyło ludności Radomia. Co jedną nogą tęsknią do komunizmu, a drugą chcą jednak przyznać, że się z nią bili; to już takie zadziwiające rozdwojenie jaźni! Skłonność do świętowania klęsk jest jakoś wpisana w naszą mentalność od czasów co najmniej dziewiętnastowiecznych. Już wówczas Eliza Orzeszkowa wypowiedziała słynną frazę „gloria victis”; do tej pory pamiętam, jak w drugiej klasie szkoły średniej byłem katowany śmiertelnie nudnym opowiadaniem o takim tytule. Mamy także Chrystusa czy Winkelrieda Narodów. Co za okropne i ohydne

brednie! I jak mocno wryły się one w naszą mentalność.

Ledwo kończy się czerwiec, mija lipiec, a tu zaczyna się mówić o innej wielkiej klęsce. Nazywa się ona draką warszawską. Po prostu zrównano z ziemią większą część milionowego miasta, śmierć poniosło około ćwierć miliona ludzi. I my mamy to świętować? Jediną zaletą było zaoranie do gołej ziemi slumsów, przykładowo na Woli czy Czerniakowie. Na tym pozytywy się kończą. W rzeczonym powstaniu zginęło wielu przedstawicieli inteligencji przedwojennej. Przykładem był znakomity lekarz i antropolog Edward Loth. Draka warszawska wpisuje się zatem w klasyczny dla powstań narodowych schemat niszczenia elit. Armia Krajowa została odgłowiona i wykrwawiona. Głównymi beneficjentami całego zajścia byli Stalin oraz instalowany przez niego w Polsce rząd komunistyczny. Przecież ludzie, którzy mogliby się postawić, zostali albo zabici, albo wysłani do obozów na terenie Niemiec. Również Armia Krajowa nie mogła przekształcić się w jakąkolwiek siłę polityczną zdolną hamować komunistów. Dlaczego na przykład w Czechosłowacji czy na Węgrzech były opory w instalowaniu komunizmu, udało się to dopiero w latach 1947 i 1948? Tam byli bowiem ludzie zdolni im się chociaż przez kilka lat przeciwstawiać. W Polsce tacy albo wachali kwiatki od spodu, albo siedzieli na emigracji. W dodatku – podobnie jak w przypadku radomskich rozruchów – świętujemy tutaj zewnętrzną prowokację. Drake warszawską – patetycznie nazywaną powstaniem – wraz z całą akcją „Burza” najprawdopodobniej zainicjowała agentura NKWD, a w zasadzie NKGB. Widać bowiem jasno, kto na tym najmocniej skorzystał.

W tym roku było nieco ciszej niż w zeszłym, lecz także się mówiło. Powstanie styczniowe! Jakiż to wielki i szlachetny zryw! No i znowu fetowanie skutków skończonego kretynizmu. Przecież powstanie styczniowe zakończyło się absolutną klęską i od początku było skazane na porażkę. Przeciwno oddziałom carskim nie walczyła nawet żadna regularna armia. Późniejsze represje Rosji carskiej – prowadzone przez Michaiła Murawjowa (nazwanego Wieszatielem ze względu na nadzwyczaj częste

wysyłanie na stryczek) oraz Konstantina von Kauffmanna – wpłynęły na zmniejszenie oddziaływania kultury polskiej na Kresach. Przecież wcześniej to Żmudzini (obecni Litwini), Białorusini czy Ukraińcy do linii Dniepru polonizowali się. Na terenach litewsko-ruskich w zasadzie cała elita mówiła po polsku. Skądinąd dobrze wiadomo, że już w 1696 roku zrezygnowano z redagowania dokumentów po białorusku – był to drugi język urzędowy – ponieważ wszyscy rozumieli po polsku. Kultura polska była od dawna atrakcyjna dla ludów zamieszkujących obszary między Niemnem a Dźwiną z jednej strony, a Bugiem a Dnieprem z drugiej. Gdyby nie to nieszczęsne powstanie, to może mieszkalibyśmy w Polsce kończącej się na linii Dniepru. Ale cóż... rzuciliśmy się do boju. I jak to się skończyło! Tak jak musiało, czyli na bólu, zgrzytaniu zębami, okupacji wojskowej, wewnętrznych cłach dla Kongresówki oraz ostrej fali rusyfikacji (nazwanej nocą apuchtinowską). W zasadzie, kto na tym skorzystał? Nasz bitewny zapał wykorzystał rzutki polityk nazwiskiem Otton von Bismarck. Powstanie styczniowe dla niego było świetnym argumentem do poprawienia stosunków z Rosją oraz zawiązania z nią sojuszu. Bismarck również proponował pomoc Rosjanom w tłumieniu powstania. Zrobiliśmy zatem wielki prezent Prusom i ułatwiliśmy im późniejsze zjednoczenie Niemiec. Bismarck dzięki temu mógł rozegrać swoją szachową rozgrywkę między potęgami, które nie były zainteresowane powstaniem jednolitego państwa niemieckiego – wymienić tutaj należy Rosję, Austrię oraz Francję. Również Rosjanie się nieco nauczyli. Konstantin von Kauffmann był w późniejszym okresie generałem-gubernatorem Turkiestanu. Zniósł niewolnictwo – na wzór zniesienia pańszczyzny. Wprowadził także zasadę, że do wojska idą tam ochotnicy, aby zapobiec potencjalnym rozruchom; ten zapis był przestrzegany aż do 1916 roku. Jednocześnie von Kauffmann nie likwidował lokalnych struktur feudalnych. Dobrze wiadomo, że chanaty Chiwy i Buchary przetrwały do 1920 roku, kiedy zostały przekształcone w Uzbecką SRR. Rosjanie nauczyli się nie robić problemów z kłopotliwymi miejscowymi.

Cóż, my Polacy lubimy robić prezenty wszystkim dookoła. Nie tylko za wolność naszą i waszą, a także dzięki innym przejawom naszej głupoty, wszyscy naokoło bardzo dużo korzystają. A my, to jak to dobrze napisał Jan Kochanowski w „Pieśni o spustoszeniu Podola”: bo Polak zarówno przed, jak i po szkodzie, głupi. Po prostu nic się nie uczymy. A jak zebraliśmy takie solidne manto, to wypadałoby zmienić mentalność. Zamiast świętować klęski, powinniśmy zacząć mówić o zwycięstwach. I zamiast umartwiania się nad tym Chrystusem czy Winkelriedem Narodów, zacząć budować pozytywną mitologię narodową. Taką, jaką ma każda nacja wokół nas. A nie fetowanie klęsk, które wraz ze stosowaną przez „Szabas Cajtung” i solidaruchów pedagogiką wstydu, powoduje tylko wstyd z racji przynależności narodowej.

Jest taki amerykański dowcip. Przychodzi Polak do baru i rzuca psie odchody na stół. „O mało w to nie wszedłem!” – powiedział. Oczywiście jest to o mitycznej polskiej głupocie; amerykańskie dowcipy o Polakach pokazują nas jako kompletnych tumanów. Niemniej jednak tutaj jest też ten element rozgadywania i rozpamiętywania. Dla pragmatycznego Amerykanina jest to głupie, ponieważ liczy się to, co tu i teraz. Natomiast dla Polaka będzie ważne, że przyniósł do baru psie ekskrementy, w które postanowił nie wejść, a w których już zdążył się utytłać. I tak jest z fetowaniem klęsk. Pamiętać należy, aby nie dorabiać mitologii i nie mówić tekstów w stylu „o mało w to nie wszedłem”, jakby to było wzniosłe wydarzenie. Lecz należy wyciągać wnioski i nie powtarzać błędów, aby przez nasz kraj nie przetoczyła się kolejna wojenna pożoga.

Autorstwo: Erno

Źródło: WolneMedia.net